

Krzysztof Wojtyca

Kraków

---

# Wspomnienia o hm. Marku Kudasiewiczzu

---

HARCERSTWO

Rocznik naukowy Muzeum Harcerstwa  
nr 4/5, 2021/2022, s. 119-136

---

W grudniu 2021 r. odszedł na wieczną wartę hm. Marek Kudasiewicz, jeden z ostatnich instruktorów, dzięki którym tak wspaniale odrodziło się krakowskie harcerstwo w roku 1957. Był to także jeden z najbardziej zasłużonych harcerskich instruktorów lotniczych w Polsce. Człowiek renesansu, inżynier i humanista, świetny programowiec. Pisał znakomite harcerskie podręczniki metodyczne, ale nie obca była mu grafika, a nawet poezja...

Był niezwykle barwną postacią, osobą przez wielu wspominaną z ogromną sympatią. Przez lata skupiał wokół siebie grupę instruktorów do realizacji wspólnych przedsięwzięć, wśród których nie brakowało silnych indywidualności. Radził sobie świetnie, pełniąc różne funkcje i kierując zespołami w harcerstwie i poza nim.

Zaczął się w 1957 r., gdy został drużynowym 19 Krakowskiej Drużyny Harcerzy, której resztą pozostał wierny do końca swoich dni, będąc m.in. szczerpowym Szczepu Lotniczego im. Żwirki i Wigury, Szczepu Lotniczego „Srebrzystych Ptaków” oraz komandorem Komandorii Szczepów Lotniczych. Głównie właśnie dzięki niemu Kraków stał się jednym z najważniejszych miejsc w Polsce, gdzie rozwinęła się działalność lotnicza drużyn harcer-

skich. Działalności lotniczej Marek patronował do ostatnich swoich dni.

Dla mnie Marek jest przede wszystkim instruktorem, który potrafił z drużyny działającej na ówczesnych peryferiach Krakowa stworzyć potężny szczerp, działający przy kilku szkołach. Skupili się przy nim instruktorzy, których potrafił zebrać wokół wspólnej idei – budowy wielkiej „19-tki”. Szczerp ten po kilku latach został podzielony na trzy „dziewiętnastackie” szczepy: „Słonecznych Dróg”, „Gwiazdowego Szlaku” i „Srebrzystych Ptaków” – nazwy otrzymały po dywizjonach (drużynach) działających wcześniej przy poszczególnych szkołach. Dwa z nich dotąd istnieją.

Harcerze ze Szczepu „Srebrzystych Ptaków”, którego był komendantem, wspominają go jako „Dziadka” – to miano Marek nadał sobie sam i to wcale nie w podeszłym wieku, lecz mając niewiele ponad czterdzieści lat. Co najmniej kilkaset harcerek, harcerzy i instruktorów, nawet tych już dawno nieczynnych w harcerstwie, do dziś czuje się jego wychowankami – dziewiętnastakami.

Dla naszego harcerskiego pokolenia Marek pozostał twórcą nie tylko „19-tki”, ale także inicjatorem i realizatorem powstania jednego z czołowych szczepów – Szczepu Lotniczego

im. Żwirki i Wigury. Miał odwagę połączyć swoje siły z siłami innych instruktorów, mimo że każdy z nich był mocną indywidualnością i współpraca z nimi wcale nie była łatwa. Marek wspaniale wykorzystał swoje „pięć minut”...

Kilku instruktorów zdecydowało się napisać wspomnienie o nim. Ich relacje starałem się wpleść w niniejszą gawędę.

### Droga do „Dziewiętnastki”

Marek Kudasiewicz do harcerstwa wstąpił 10 czerwca 1945 r. w Dąbrowie Górniczej do 83 Zagłębiowskiej Drużyny Harcerzy im. Jana III Sobieskiego przy Szkole Podstawowej nr 5. Przyrzeczenie Harcerskie złożył 31 stycznia 1946 r. na ręce hufcowego Hufca Harcerzy w Dąbrowie Górniczej hm. Mariana Hachulskiego. W lipcu 1946 r. wziął udział w pierwszym obozie harcerskim, zorganizowanym przez 83 ZDH w Wąsicach k. Wołczyzna. Rok później uczestniczył w 29-dniowym obozie 107 Warszawskiej Drużyny Harcerzy w Garczynie koło Kościerzyny, a w kolejnym roku ponownie z 83 ZDH w Ujsołach k. Rajczy.

A oto wydarzenie, które miało miejsce na jego pierwszym obozie: *Był to obóz hufca i uczestniczyły w nim drużyny wraz ze swoimi drużynowymi. Na początku obozu przy przydziale sprzętu drużynowy jego drużyny „przyspał” i jego harcerze dostali namiot w tak strasznym stanie, że, jak mówią starsi harcerze (bo tylko tacy pamiętają jeszcze takie namioty), przez dziury w dachu „Matkę Boską było widać do kolan”.*

*W tej sytuacji drużynowy, człowiek dość niepozorny, „narozrabiał” u komendanta obozu – równocześnie hufcowego, co spowodowało, że ten ostatni postanowił odesłać go z obozu. Na apelu poinformował o swojej decyzji, drużynowy wystąpił – już spakowany z plecakiem i skrzypcami (bo na dodatek grał na skrzypcach) – i wtedy hufcowy dla podkreślenia swojej decyzji zapytał: – I kto jeszcze? – I wówczas Marek – wtedy mały harcerzyk – stanął obok swojego drużynowego. I nie wiadomo, czy zdecydowało to, czy też fakt, że ojciec Marka grywał stale z hufcowym w karty, ale sprawa zakończyła się szczęśliwie. Tak półżartem Marek zakończył tę historię.<sup>1</sup>*

Następnie, po przeprowadzce z rodzicami do Warszawy, był zastępowym w 107 Warszawskiej Drużynie Harcerzy w Hufcu Harcerzy Warszawa-Wola im. Mieczysława Bema we Włochach k. Warszawy. Po kolejnej prze-

prowadzce rodziców „za chlebem” próbował nawiązać w latach 1948–1949 kontakt z 1 Gliwicką Drużyną Harcerzy, co już jednak się nie udało, ponieważ zaczynał się już okres likwidacji ZHP, a jego, złożoną w tamtejszej komendzie hufca księżeczkę harcerską, zarekwirowano.

### „Dziewiętnastka”

Ponownie podjął działalność harcerską w październiku 1957 r., kiedy mieszkał już w Krakowie, zgłaszając się jako student AGH na wezwanie władz harcerskich. W dniu 22 lutego 1957 r., będąc w stopniu wywiadowcy, został powołany na funkcję p.o. drużynowego. Barwny opis początków „19-tki” znalazł się w jego artykule *Trzecie narodziny krakowskiej „Dziewiętnastki”*, a o pierwszych zbiórkach tak napisał w kronice drużyny: *Był to koniec stycznia 1957 roku. W których z mokrych, zimowych dni spotkałem się pierwszy raz z chłopcami ze Szkoły Podstawowej nr 33. Zgłaszali się klasami na umówioną godzinę, zgłaszali się z chęcią do pracy w przyszłej harcerskiej drużynie. Trudno było w ponury dzień zimowy nastroić moich przyszłych druhów radością letnich wycieczek, wypraw, zbiórek; trudno było samymi słowami oddać urok harcerskiej „wielkiej przygody”. Mówiłem o tym, co sam przeżyłem, mówiłem, jak umialem, o celach naszego Związku i... chłopcy zrozumieli. Mogę to stwierdzić dzisiaj, kiedy piszę te słowa do trwałego dokumentu naszego istnienia – kroniki, dzisiaj, kiedy codziennie spotykam uśmiechniętych druhów z żółtymi chustami i srebrnymi numerkami 19 na ramionach.*

*Nie wierzyłem zbyt wtedy, czy dojdziemy w swej pracy do widocznych efektów. Było nas trzech: ja mający pełnić z polecenia Hufca funkcję drużynowego oraz dwóch kolegów jako przyboczni, druhowie Solak Mieczysław i Twardowski Władysław.*

*Pierwsze zbiórki zastępów, drużyny, pierwsze nieśmiało „wykapki” do Lasku Wolskiego, „wielka wyprawa” zastępu Sokołów... dzisiaj po kilku miesiącach wydają się już dziwnie dalekie, niemal zapomniane. A dni szły... Ścieśniały się szeregi drużyny, składy zastępów zmalały. Wielu druhów przestało uczęszczać na zbiórki; zarysowywać się zaczął „trzon” drużyny, harcerska postawa wielu chłopców.*

Marek zapytany, dlaczego „19-tka” została drużyną lotniczą, tak odpowiedział:

1. J. Wojtyca, Gawęda spod namiotowej płachty, „Harcerz Rzeczypospolitej” 1994, nr 8, s. 35.



Marek Kudasiewicz (fot. ze zbiorów autora)

*Z różnych przyczyn nie mogłem zostać lotnikiem, ale zainteresowania miałem, np. podczas wojny namiętnie wycinałem z niemieckiej gazety „Adler” zdjęcia samolotów, naklejałem je na kartoniki i ustawiałem na półce. Od kiedy interesowało mnie lotnictwo, nie wiem, ale ostatnio dotarłem do swojego zdjęcia z 1941 r. z Sosnowca, gdzie wyjechałem z rodziną po powrocie ojca z obozu koncentracyjnego. Mieszkało tam moich czterech wujów, z których jeden był lotnikiem. I na tym zdjęciu stoję ja malutki między nimi w piżamie ale z „kartonówką” w ręce.*

*Gdy w 1957 r. przeprowadzałem zaciąg w klasach tłumacząc dzieciom, co to jest harcerstwo, podszedł do mnie jeden z nauczycieli – p. Godula – później okazało się, że to był podharcemistrz (później harcmistrz) – i powiedział, że tu po wojnie działali harcerze i chyba jest gdzieś ich kronika. Po moim zainteresowaniu się sprawą wyszedł mówiąc, że jej poszuka. Po chwili przyszedł i przyniósł ze strychu zakurzony zeszyt, po otwarciu którego z kurzu i otwarciu okazało się, że jest to rzeczywiście kronika 19 KDH im. Żwirki i Wigury. I to był ten moment, kiedy już wiedziałem, że drużyna będzie lotniczą.*

Trzeba dodać, że rodzice Marka byli również bardzo zaangażowani w pracę harcerską,

a jego dom rodzinny przy ulicy J. Kochanowskiego, będąc zawsze otwarty dla harcerzy, okresowo nawet pełnił rolę nieformalnej harcówki. Mama, jak mówił Marek, była „podzastępową” i w razie jego nieobecności można było się od niej dowiedzieć, gdzie on przebywa.

Tak to wspominał jeden z instruktorów: *Kochanowskiego 15, dom, w którym, mieszkała rodzina Kudasiewiczów. Rodzice Marka nieodłącznie byli związani z początkami „19-tki” po roku 1957. Tata Włodzimierz<sup>2</sup> wspierał nas swoimi zdolnościami plastycznymi, m.in. był współtwórcą szaty graficznej pierwszej kroniki i członkiem Komitetu Fundacji Sztafardaru. Mama Jadwiga, kobieta o niezwykle żywotności i energii, była opiekunką wszystkich, którzy trafiali w progi mieszkania, aby uzgadniać lub dogadywać nasze harcerskie sprawy. Pamiętam, że w roku 1960 wykonała pierwszy proporzec drużyny, z którym dumnie udaliśmy się na obóz wędrowny w Bieszczady. Mieszkanie nierzadko zamieniało się w izbę harcerską, a fortepian w salonie był bodźcem do tworzenia pierwszych przebojów i hymnu „19-tki”. Zresztą z przyjemnością też słuchaliśmy gry Marka na tym instrumencie, zwłaszcza modnych wówczas kompozycji jazzu.*

2. Włodzimierz Kudasiewicz (1904–1994), inż., członek Dzielnicowej Rady Przyjaciół Harcerstwa Hufca Kraków Kleparz-Łobzów, odznaczony Honorową Odznaką Ruchu Przyjaciół Harcerstwa i Honorową Odznaką Szczepów Lotniczych (1981).

Na dużym podwórku przed domem odbywały się zbiórki przed ważnymi występami drużyny, m.in. na capstrzyki 1-majowe. Tam powstawały wspaniałe konstrukcje „kosmicznych” statków, nasi „kosmonauci” przywdziewali swoje kombinezony, a orkiestra (werble i fanfary) niemiłosiernie zakłócała spokój mieszkańcom.<sup>3</sup>

W dniach 3–25 sierpnia 1957 r. Marek uczestniczył w kursie przewodnikowskim, zorganizowanym przez komendę chorągwi w Piwnicznej-Zdroju (na stokach Kicarza). Jeden z uczestników kursu tak go wspomina:

*Starszy ode mnie o całe pokolenie studenckie – gdy ja zaczynałem studia, On właśnie je ukończył – był dla mnie wzorem harcerza. No, trochę zwariowanym wzorem, ale zawsze! Poznaliśmy się w roku 1957, wkrótce po wznowieniu działalności ZHP po ośmioletniej przerwie. On poznał mnie (choć nie osobiście) wcześniej, zauważył bowiem idącego ulicą Kochanowskiego, gdzie wtedy mieszkał, harcerza w pełnym umundurowaniu. To był pierwszy harcerz, którego zobaczył po tej kilkuletniej przerwie. Ten ważny moment w swoim harcerskim życiorysie opisał przy okazji wspomnień o reaktywacji 19 KDH. Ja – wtedy zastępowy, szedłem na zbiórkę 3 KDH, po której zostałem przybocznym. Więc i w moim życiorysie harcerskim z tamtych czasów ten dzień stanowił jakąś cezurę.*

*Osobiście poznaliśmy się dopiero latem tego 1957 roku, biorąc udział w kursie drużynowych na Kicarzu, wzgórzu nad Piwniczną. Marek był w zastępie „Krasnoludków” i dzielił swoje tymczasowe harcerskie imię Koszałek Opalek z Leszkiem Watychą (ten był Opalkiem). Marek dosyć często obiecywał pełnym głosem, że go „zabije na śmierć!” za jakiś jego wyimaginowane przewinienie. To jeszcze nie było najstraszniejsze w jego sposobie bycia na obozie. Gorszym było prawie codzienne przebieganie przez środek naszego namiotu (sąsiadującego z „Krasnoludkami” zastępu „Leśnych Ludzi”) do latryny obozowej, do której była to najkrótsza droga. Pobyt na obozie i udział w wymagającym szkoleniu pozwolił na zadzierzgnięcie więzów przyjaźni i współpracę w czasie kolejnych lat mojej czynnej działalności harcerskiej.*

*Marek odpowiadał mi charakterologiczne. Należał do szczególnej grupy ludzi, którą dzisiejsza młodzież określa jako „jajcarzy”. Peł-*

*no było w jego zachowaniu dowcipów słownych, jak i sytuacyjnych. Działaliśmy swego czasu w komendzie Hufca Kraków Łobzów, która mieściła się w maleńkim pokoiku nr 50 na II piętrze Młodzieżowego Domu Kultury (dawna YMCA) przy ul. Krowoderskiej 8. Jednym z jego dowcipów sytuacyjnych było wysmarowanie denka mojej czapki harcerskiej (tzw. kurzydłówki) od strony wewnętrznej gumą arabską – klejem używanym przez sekretarza hufca Krystynę Wykę do celów służbowych. Tak spreparowaną czapkę wbił mi na głowę, nie bacząc na moje protesty (wcale nie miałem zamiaru w tym momencie wyjść z pomieszczenia) i przyklepując ją z lekka. Nic dziwnego, że przyłączył się do wybuchu wesołości, która opanowała wypełniony do niemożliwości młodzieżą obojga płci lokal hufca (zajęte wszystkie miejsca stojące!), gdy tę czapkę usiłowałem zdjąć z głowy, oczywiście wraz z włosami.*

*Zawsze podziwiałem rodziców Marka, którzy sekundowali mu w realizacji różnych pomysłów, m.in. w działalności ściśle lotniczej, gdyż specjalizacją 19 KDH od początku było lotnictwo. Jego kolega Mieczysław Solak i wychowanek Jacek Pietrzyk<sup>4</sup> bywali prawą i lewą ręką, podczas gdy głową tych przedsięwzięć był sam Marek.*

*Odwiedzaliśmy się na obozach letnich. Prawdę mówiąc, to częściej ja przyprawdzałem wygłodzony zastęp wędrujący po Beskidach do prowadzonego przez Marka obozu stałego. Nakarmieni chłopcy rewanzowali się, wykorzystując swoje umiejętności pionierskie (np. przy kopaniu nowej, eleganckiej latryny). Jedyny raz odwodziłem się „Lotnikom” za gościnę, przyjmując ich pod dach „Chatki Puchatka” na Połoninie Wetlińskiej, którą (chatkę – oczywiście!) okupowałem prawem kaduka wraz z prowadzonym przez siebie obozem wędrownym.*

*III Mistrzostwa Narciarskie Hufca Kraków Łobzów w otoczeniu Hali Ornak w Tatrach byłyby rozgrywane standardowo, gdyby nie wykonywany przez Marka skomplikowany komunikat, który należało zapamiętać i powtórzyć po pokonaniu jednego kilometra narciarskiego biegu patrolowego. Żaden z patroli nie był w stanie powtórzyć go prawidłowo...*

*Marek pozostał wierny ideałom harcerskim i harcerskiej służbie przez całe swoje życie, ja sporadycznie włączałem się w czynną har-*

3. Relacja hm. Tadeusza Kasprzyckiego.

4. Jacek Józef Pietrzyk (ur. 1944), prof. n. med., lekarz pediatra, przewodnik, także koszykarz i reprezentant Polski.

cerską służbę na różnych „wirażach historii”, które pokonywała Polska. Wtedy znów nasze drogi się spotykały. Jestem wdzięczny losowi, że dał mi możliwość spotkania takiego harcerza. Posługując się jego przykładem, mogę przeciwstawić się twierdzeniom, że harcerze są zazwyczaj zaślepieni w swoich przekonaniach i są... nudni. W otoczeniu Marka nudą na pewno nie wiało!<sup>5</sup>

W kolejnych latach Marek prowadził drużynę i był komendantem jej obozów w 1958 r. w Kowańcu-Robowie, w 1959 r. – w Wysowej, w 1960 r. – w Korbielowie, a w 1961 r. – obozu wędrownego Bieszczady–Wysokie Tatry.

Z tym okresem wiążą się wspomnienia jednego z jego harcerzy: Trudno mi uwierzyć, że to już 53 lata mijają, od kiedy poznałem wówczas wiele starszego ode mnie wysokiego, szczupłego okularnika. Oczywiście należy pamiętać, że ja wówczas miałem 10 lat, a on był już studentem i drużynowym działającej na terenie Szkoły Podstawowej nr 33 – 19 KDHL i nawet nie śmiałem z nim rozmawiać. Do drużyny wtedy nie mogłem wstąpić, gdyż była to drużyna harcerska, a ja byłem dopiero w IV klasie i starszy brat wytłumaczył mamie, że takich małych nie przyjmują, chociaż paru kolegów z klasy już należało. Pewnie nie chciało mu się ciągle lazić z „ogonem”, czyli mną, chociaż na paru zbiórkach nieoficjalnie z kolegami byłem.

W następnym roku już oficjalnie wstąpiłem do drużyny, chociaż na zbiórki zacząłem chodzić od początku wiosny, gdy mama pozwoliła mi samodzielnie wszędzie chodzić, a potem pozwoliła jechać na obóz harcerski. Brat był na obozie w poprzednim roku i opowiadał istnie cuda o tym, co tam się działo.

Razem z kolegą z klasy udaliśmy się na miejsce zbiórki drużyny, znajdowało się ono na tzw. cygańskich polach, czyli na porośniętych chaszczami nieużytkach, miejscu postojów w lecie taborów cygańskich – stąd zresztą ich nazwa. Obecnie znajduje się tam Miasteczko Studenckie AGH. Miasto praktycznie kończyło się na ul. Kawiora, dalej nic już nie było, a Bronowice były odległą wsią. Wyprowadziła nasza była aktem swego rodzaju desperacji, bo wiedzieliśmy z ogłoszeń mniej więcej, gdzie i kiedy odbędzie się zbiórka, ale jako nieaktywni w zastępach nie znaleźliśmy szczegółów.

Poszliśmy ul. Reymonta w kierunku budowanych obiektów „Wisty”, licząc, że jakoś ich znajdziemy. Niestety za ul. Miechowską

naprzeciw stadionu „Wisty” rozciągały się jedne wielkie zielone gąszczę poprzecinane nielicznymi wydeptanymi ścieżkami. Nasłuchując, usłyszeliśmy odgłosy jakichś komend i pełni obaw, co tam będzie, szliśmy, aż zobaczyliśmy ponad szczytami krzewów znajomą głowę w berecie i z okularami. Niepewni, jak nas przyjmą, podeszliśmy, a wtedy Marek z radością przywitał nowych druhów i po krótkiej rozmowie, przydzielił nas do zastępu „Jaskólek”, prowadzonego przez Bogusia Maleckiego. Po krótkiej chwili przyszła mama kolegi, która w porozumieniu z moją mamą z pewnej odległości nas „pilotowała” i załatwiła wszystkie formalności. Wtedy wreszcie zaczęliśmy aktywnie działać w drużynie i mogliśmy realnie myśleć o wyjeździe na obóz.

Sam obóz odbył się w rejonie wsi Hańczowa koło Wysowej w całkowicie dzikiej i prawie bezludnej okolicy. Wtedy już bliżej poznałem druha Marka, gdyż tylko taka forma zwracania się była dopuszczalna. Można było do niego przyjść zawsze z każdym problemem, których mnóstwo mieli jedenastoletni samodzielni „mężczyźni”, a on umiał je jakoś zawsze rozwiązać tak, że chyba nikt z nas nie tęsknił za domem. Marek na ogniskach przygrywał na akordeonie, według nas pięknie, chociaż twierdził, że tego nie umie. Nas to i tak zachwycalo, pomimo, że grał tylko jedną ręką na guzikach.

Przesadnej dyscypliny tzw. kaprałskiej na obozie nie było, ale i tak nikt nawet w myśli nie dopuszczał złamania regulaminów lub niewykonania poleceń – głównie Marka, który codziennie na ognisku wygłaszał gawędę zwaną przez nas „mową-trawą”, w trakcie której omawiał wpływający dzień i zadania na następny oraz umoralniał nas, analizując życie obozowe. Istniało w nas jednak przekonanie o nieuchronności kary za popełnione wykroczenia.

Sam Marek rzadko unosił się gniewem i szybko mu to mijało, ale jak się okazało, pamiętał o winowajcach. Jako przykład może służyć sytuacja z pierwszego dnia obozu, kiedy to zaraz po rozpakowaniu zarządził zbiórkę, polecił wystąpić dwóm starszym harcerzom z grupy kwatermistrzowskiej i ukarał ich karnym umyciem 50-litrowego gara, w którym była rozrabiana glina na budowę pieca kuchennego. Przy okazji podał przyczynę kary, którą był nierozumny występ pod koniec poprzedniego obozu letniego. Podczas oczeki-

5. Relacja hm. Wojciecha Biedrzyckiego.

wania na transport do domu dwóch wesolków zaczęło bawić się w lokomotywę, tzn. wzięli resztkę mleka w proszku, położyli się za jakąś przeszkodą i zaczęli wydmuchiwać go z ust, udając dym z lokomotywy. Niestety ich zabawa nie spotkała się z aprobatą komendanta, czyli Marka, który obiecał wymierzyć im karę na następnym obozie. Jadąc na grupę kwatermistrzowską myśleli pewnie, że jakoś się uda i Marek zapomni, ale ku radości całej reszty okazało się, że pamiętał i nastąpiła egzekucja ku przestrodze pozostałych. Jak żartuje, to żartuje, ale jest konsekwentny i jak coś postanowi, to zrealizuje.<sup>6</sup>

Marek był w tych latach również instruktorem komendy Hufca Kraków-Kleparz-Łobzów, pełniąc funkcje: kierownika referatu drużyn młodszych męskich (1959–1960) i zastępcy komendanta hufca (1960–1961), a na niwie lotniczej współpracując z Aeroklubem Krakowskim. Zdobył kolejne stopnie instruktorskie: przewodnika (1957), podharcmistra (1958) i harcmistra (1963).

Drużyna pracowała, chociaż nie było łatwo. W czasopiśmie „Drużyna” nr 1 z 1959 r. można było przeczytać o sytuacji 19 Krakowskiej Drużyny Harcerzy Lotniczej w artykule *Lotnicy bez „lotniska”*: *Największą naszą bolączką jest uciążliwy brak – od początku istnienia drużyny (styczeń 1957 r.)! – jakiegokolwiek własnego kąta. Tak więc lotnicy nie mają dotąd swego „lotniska”... W szkole nauka odbywa się na dwie zmiany, budynek nieustannie przepełniony jest młodzieżą – dla nas więc nie znalazła się najmniejsza izdebka czy choćby piwnica...?*

Jednak w końcu udało się w 1961 r. zorganizować izbę harcerską w schronie przeciwatomowym pod budynkiem Państwowego Przedsiębiorstwa nr 75 przy ul. Grottera 28.

Te lata pracy jego drużyny można uznać za rodzaj „rozbiegu” do zbudowania „Wielkiej Dziewiętnastki”, która powstała w następnych latach.

### „Wielka Dziewiętnastka”, czyli Szczep Lotniczy im. Żwirki i Wigury

Moja znajomość z Markiem trwa już ponad pół wieku. Można powiedzieć, że zaczęła się w chwili, gdy zobaczyłem go na którymś capstrzyku idącego na czele drużyny mającej żółte chusty tak jak i moja „23-ka” (ale dodatkowo z szachownicą i bez czerwonej obwódki). Pamiętam jeszcze, że mieszkał w tym czasie

niedaleko ode mnie, w domu na rogu ulic Kochanowskiego i Grabowskiego, obok którego na wiosnę kwitły piękne magnolie.

A stało się to tak. „Dziewiętnastka” odrodziła się w 1957 r. i prowadzona przez Marka Kudasiwicza do 1963 r. miała swoje wzloty i upadki. Za działalność lotniczą w 1962 r. wyróżniona została jako jedna pierwszych drużyn w Polsce „husarskimi skrzydłami” (wyróżnieniem nadawanym drużynom lotniczym). Była jednak jedną z wielu niewyróżniających się specjalnie drużyn w hufcu. Daleko jej było do sławy i wielkości „Czarnej Trzynastki”, „Huraganu”, „Jedynki” Zosi Basterowej czy „Żurawi” Bogusia Rybskiego.

W pierwszej połowie lat sześćdziesiątych zaczęły powstawać szczepy, które szybko stały się silnymi jednostkami harcerskimi. Wśród innych powstał Szczep Lotniczy im. Żwirki i Wigury 19 KDH. Szybko znaleźliśmy się w jednym szeregu z czołowymi szczepami Hufca Kraków-Kleparz-Łobzów. Marek znalazł się we właściwym czasie w odpowiednim miejscu i potrafił wykorzystać swoje „pięć minut”, aby drużynę, jakich wówczas było wiele, rozwinąć w „Wielką Dziewiętnastkę”. Zasluga Marka polegała na tym, że udało mu się w odpowiedniej chwili skupić wokół siebie większy zespół instruktorów. Koniec lat pięćdziesiątych i lata sześćdziesiąte były to lata podboju kosmosu i specjalność lotnicza była „na topie”, a w tym samym czasie właśnie powstawały w większej liczbie szczepy. Marek wyczuł moment lub może po prostu miał intuicję, kiedy należało to zrobić. Uznał, że warto „bezrobotnych” lub mało zaangażowanych w pracę swoich środowisk harcerskich instruktorów wciągnąć do realizacji wielkiej sprawy, jaką miała być „Wielka Dziewiętnastka”.

W 1963 r. zwerbował phm. Ryśka Wcisłę po jego odejściu z „Białego Szczepu”. Ten świetny organizator dał nowy asumpt do pracy „19-tki”. Objął on funkcję zastępcy szcypowego ds. organizacyjnych i drużynowego jednej z dwóch drużyn harcerzy. Szła za nim sława „zamordysty”, u którego na obozie przy przekazywaniu służby w kuchni sprawdzano czystość przeciągając przez komin kuchni białą chustę. Po przeprowadzonym przez niego bardzo udanym obozie w 1963 r. w Gaboniu „19-tka” bardzo efektywnie zaprezentowała się na rozpoczęciu roku harcerskiego. Wspaniale umundurowane dwie drużyny harcerskie (nazywane w szczepie dywizjonami) „Słonecznych Dróg” i „Gwiazdzystego Szla-

6. Relacja hm. Kazimierza Dziedzica.

7. M. Kudasiwicz, Dziewiętnastka się nie łamiel, „Drużyna” 1959, nr 1 (144) z 15 | 1959 r., s. 10–11.

ku” oraz zuchowa „Kosmonauci” – w sumie około stu osób. To zrobiło wrażenie – „żółtym błysnęło”.

Niedługo po tej imprezie dołączył do szczepu hm. Leszek Watycha ze swoją 28 Krakowską Drużyną Harcerzy, która niedawno wyodrębniła się z podziału prowadzonej poprzednio przez niego „20-tki”. W czasie kilku lat pracy jakoś nie udało mu się stworzyć drużyny z tradycjami i jeszcze niedawno miotał się między „20-tką” i wydzieloną z niej „28-ką”. Co prawda początkowo wzbierał się przed zmianą numeru, ale szybko dał się przekonać i dotychczasowa 28 KDH stała się trzecim dywizjonem „19-tki”, któremu nadano nazwę „Srebrzystych Ptaków”. Równocześnie znalazła się w szczepie także męska drużyna zuchowa działająca przy tej samej szkole – dywizjon zuchowy „Aeronautów”.

W tym czasie Marek złożył także mi ofertę przejścia do „19-tki”. Byłem w rozterce. Do „19-tki” przyciągał mnie jej harcersko-lotniczy folklor, jej hymn i bojowe hasło „Dziewiętnastka się nie łamie”, a także żółte barwy. Skąd ta rozterka? Na początku roku harcerskiego 1963/64 jedenaście drużyn Hufca Kleparz-Łobzów, w tym prowadzona przeze mnie od dwóch lat 23 KDH-rzy (nosząca żółte chusty z czerwoną obwódką), zostało przekazanych do Hufca Kraków-Zwierzyniec. Nie przeszedłem jednak do tego hufca, ponieważ hufcowy hm. Bogusław Molenda, oczywiście w porozumieniu ze mną, przeniósł mnie wcześniej na funkcję drużynowego 20 KDH-rzy. W tej sytuacji niezręcznie było mi rezygnować z dopiero co podjętej funkcji. Mijały jesienno-zimowe miesiące pracy w prowadzonej przeze mnie „20-tce”, a moja drużyna miała liczbę harcerzy zbliżoną do liczniejszego zastępu. Szkoła Podstawowa nr 2, przy której istniała „20-tka”, przez mur sąsiedowała ze Szkołą Podstawową nr 7, przy której działała potężna „Czarna Trzynastka”. Większość chłopców chętnych do harcerstwa miała w niej kolegów i dlatego do niej wstępowała. Pomimo, że nie miałem wielkich nadziei na stworzenie konkurencji dla „13-tki”, odrzuciłem propozycję jej szczepowego hm. Zygmunta Smolenia przejścia wraz z drużyną do jego szczepu jako kolejna „gromada”. Na zimowisko w Ślemieniu wyjechałem już z „19-tką”, pełniąc na nim funkcję kwatermistrza. W zimowisku tym wzięło udział także kilku moich harcerzy. Na nim dojrzało moje postanowienie rezygnacji z funkcji drużynowego 20 KDH. Składając ją, przedstawiłem hufcowemu druhowi Molendzie istniejącą sytuację. Jak się zorientowałem, z mojej decyzji był bardzo niezadowolony, gdyż bardzo mu

zależało na istnieniu „20-tki”, mającej zresztą długie tradycje (z istnienia których nie zdałem sobie sprawy).

W kilka dni później zostałem przyjęty do „19-tki” i objąłem wakującą funkcję kwatermistrza szczepu. Postanowiłem swój harcerski los związać z drużyną pracującą „pod lilijki uskrzydłonej znakiem”, tym chętniej, że miała również żółte barwy – tak jak moja macierzysta „23-ka”. Pamiętam, że moim pierwszym poważniejszym zadaniem jako kwatermistrza było zorganizowanie magazynu sprzętu w naszej harcówce pod Przedszkolem nr 75 przy ulicy A. Grottgera.

Potwierdzeniem pozycji, jaką osiągnęła „Dziewiętnastka”, było wręczenie sztandaru, które odbyło się na Błoniach 6 czerwca 1964 r. oraz obóz „Kosmodrom” w dolinie Wołosatki w Bieszczadach, o którym pisała krakowska prasa.

Po akcji sztandarowej i obozie „Kosmodrom” dołączyli do szczepu następni instruktorzy i powstały następne dywizjony (drużyny), tak że pod koniec 1964 r. były cztery dywizjony harcerskie (powstał jeszcze dywizjon „Zdobyców Kosmosu”) i trzy zuchowe (nowy dywizjon „Skrzydlatych”). W połowie lat sześćdziesiątych, przez około dwa lata, liczba harcerzy i zuchów „19-tki” wzrosła co najmniej trzykrotnie. Dość szybko szczep objął swoim zasięgiem następne szkoły podstawowe, organizując nowe dywizjony harcerskie i zuchowe. Stał się jednym z czołowych szczepów w hufcu, będąc równocześnie przodującą harcerską jednostką lotniczą. Przy współpracy i wsparciu ze strony Aeroklubu Krakowskiego skutecznie popularyzował zagadnienia lotnictwa i astronautyki wśród młodzieży. Corocznie przeprowadzał zawody kartonówek (modeli kartonowych) i modeli balonów na ogrzane powietrze, a wspólnie z Aeroklubem Krakowskim zawody „Święta Latawca”, „Niedziele Lotnicze” i zawody modeli „Jaskółek”. Organizował liczne obozy letnie i zimowe dla harcerzy i zuchów. W ramach Akcji Letniej 1965 wykonano spektakularną i bardzo pożyteczną z punktu widzenia społecznego akcją „Lot-San” – wyszukiwania terenu i organizowania lotnisk sanitarnych w okolicy obozowania, umożliwiających transport chorych z trudno dostępnych rejonów Beskidu Niskiego.

O wspomnianym wyżej naszym najlepszym obozie – „Kosmodromie” i udziale Marka w powstaniu jego programu tak napisał w swoich wspomnieniach zastępca komendanta tego obozu: *Program obozu opracowany przez komendanta Marka Kudasie-*

wicza był rewelacyjny. Tematyka związana była z kosmonautyką. Teren obozu stanowił „Kosmodrom”, wokół którego rozmieszczono „stacje naukowo-badawcze”, urządzone przez wszystkie dziesięć zastępów obozowych. Każda z nich prowadziła oddzielne badania według specjalnych instrukcji: meteorologicznej, przyrodniczej, terenoznawczej i kosmiczno-lotniczej. Na terenie „Kosmodromu” działała „Szkoła Kosmonautów”, w której przechodziła przeszkolenie grupa najlepszych harcerzy – kosmonautów, z których jeden miał być wybrany jako pilot statku kosmicznego „Ada-19”. [...]

Wreszcie nastąpił kulminacyjny punkt programu obozu, gra o kryptonimie „Godzina Zero”. Przed południem w „Kosmodromie” usłyszano huk. Oznaczało to, że statek kosmiczny z pilotem na pokładzie wystartował. Po kilku godzinach oczekiwania na jego powrót na ziemię zauważono na bieszczadzkiej poloninie ogień. To płonęła kapsuła pojazdu kosmicznego. Natychmiast wyruszyły ekipy ratunkowe zastępów na poszukiwanie kosmonauty, który miał się katapultować. Wkrótce znaleziono go wiszącego na spadochronie na drzewie. Tym wydarzeniem w Bieszczadach zainteresowała się prasa. Opisano je w „Echu Krakowa” oraz w popularnym tygodniku „Przekrój”, w którym zamieszczono fotografię kosmonauty w pełnym wyposażeniu kosmicznym ze spadochronem. Zainteresowała się nim również telewizja.<sup>8</sup>

Na tym właśnie obozie Marek został przez phm. Adama Rząsę „Chytręgo Lisa” przyjęty do Kręgu Puszczańskiego „Czarnego Dębu”, otrzymując miano „Chytręgo Kota”. Wiele lat później, w 2011 r., został przewodnikiem Gromady „Kruków”. Na jednym ze spotkań kręgu przy okazji przyjęcia nowych członków wygłosił gawędę, której fragment prezentuje jego punkt widzenia na ideę współczesnego puszczaństwa: *Jak Druhowie przypominają sobie, początkiem pierwszego starszoharcerskiego Kręgu Puszczy był V Zjazd Starszoharcerski w Kiełpinach na Pojezierzu Brodnickim, który w niezbyt dużym składzie (19 druhów i 25 druhien) odbył się w ostatnich dniach sierpnia 1930 r.*

*Ale wiemy też, że załóżki puszczaństwa przejął do skautingu od Thompsona Setona – Baden-Powell. Pojęcie „puszczaństwa” miało (według dzisiejszych określeń) swe podłoże w ów-*

*czesnej myśli ekologicznej. Dziwnym zbiegiem przypadków miałem możliwość poznać bliżej i szerzej tłumaczenie pism Setona, z których zapamiętałem szczególnie zwrócenie uwagi na problem „zagrożeń” dla człowieka, który wchodzi na puszczańską ścieżkę...*

*Wszyscy znamy pojęcie walorów, ale i możliwości działania puszczańskiego dzisiaj, a ten problem jest jakby istotniejszy dla mnie. Bo dzisiejsza groźna „puszcza” to „puszcza charakterów ludzkich”, w których jest tyle zła, nienawiści, wrogości i braku wzajemnego zrozumienia. Doświadczamy tego w dzisiejszym harcerstwie bardzo wyraźnie – podkreślając swe indywidualne i zbiorowe różnice poglądów, które nie prowadzą nas do „piękna puszczy”, jaką według mnie byłaby ideowa jedność harcerstwa na jubileusz 100-lecia jego istnienia.*

*Przyjmując Druhów dzisiaj w szeregi Totemowo-Puszczańskiego Kręgu „Czarnego Dębu”, życzę Wam, ale i nam wszystkim szczególnego uwrażliwienia na niebezpieczeństwa w naszej „puszczy wychowawczej” w Polsce, gdyż dopiero po ich zneutralizowaniu, obejściu czy sprytnym ich uniknięciu będziemy mogli cieszyć się z dodatnich wpływów dzisiejszego puszczaństwa. Bowiem są one najważniejsze dla zbiorowości, każdej harcerskiej „małej puszczy”, jak i dla tych indywidualnych osobników, którzy w puszczy szukają miejsca dla wyciszenia i refleksji, umożliwiającej wszystkim razem żyć „po puszczańsku” na co dzień”<sup>9</sup>*

Szczep, mając liczną i doświadczoną kadrę instruktorską, działał także na zewnątrz, organizując imprezy dla hufca (biegi na wyższe stopnie harcerskie, złoty gwiazdźstie) i chorągwi (imprezy lotnicze, kursy drużynowych drużyn lotniczych w ramach zgrupowań obozów). „Wielka Dziewiętnastka”, czyli Szczep Lotniczy im. Żwirki i Wigury 19 KDH szła dalej rozpędem, nawet wtedy, gdy Marek w 1966 r. zrezygnował z funkcji szczerpewego.

### W „Srebrzystych Ptakach”

W roku 1968 komendant Hufca Kraków-Kleparz-Łobzów dokonał podziału Szczepu Lotniczego im. Żwirki i Wigury na trzy przyszłolotnicze szczepy: „Słonecznych Dróg”, „Gwiazdźstego Szlaku” i „Srebrzystych Ptaków”. Osiem lat później, 30 kwietnia 1976 r., została powołana Komandoria Drużyn Lot-

8. L. Watycha, *Opowieści Chytręgo Żubra*, Kraków 2004, s. 34–35.

9. Fragment gawędy hm. Marka Kudasiwicza na spotkaniu Gromady „Kruków” 23 III 2010 r.



nicznych z hm. Markiem Kudasiewiczem jako komandorem. Jej cel określono jako kontynuowanie wspólnych tradycji i zwyczajów oraz wzbogacanie form pracy w jednostkach Szczepów Lotniczych. Komandoria została powołana przez Szczepy Lotnicze im. Żwirki i Wigury: „Gwiaździsty Szlak”, „Słoneczne Drogi” i „Srebrzyste Ptaki” dnia 21 listopada 1975 r. w Krakowie w „Langmanówce”. Jako spadkobierczyni i kontynuatorka tradycji „19-tki”, komandoria stała się także dysponentem historycznego sztandaru Szczepu Lotniczego 19 KDH.<sup>10</sup>

W roku 1979 hm. Marek Kudasiewicz objął funkcję szczepowego szczepu, prowadzonego wcześniej przez hm. Leszka Watychę, który przeszedł do Szczepu „Słonecznych Dróg”. O tych zmianach i początku pracy Marka w tym szczepie tak napisał jeden z instruktorów: *Koniec lat siedemdziesiątych zastał nas – „Srebrzyste Ptaki” w stanie, który określiłbym harcerskim „błogim niebytem”. Z jednej strony bardzo solidna, zgrana grupa [...], z drugiej brak głębszej więzi z harcerstwem przez duże H. Co prawda mundury, harcerskie piosenki, wycieczki – wszystko to było, ale na poziomie nas... instruktorów czy trochę starszych harcerzy – funkcyjnych to nasze harcerstwo było chyba dość powierzchowne. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę z tego, że spoiwem naszej grupy jest właśnie harcerstwo, przynależność do „19-tki”, a może bardziej w tym okresie do „Srebrzystych Ptaków”... [...]*

*W 1979 r. wyjechaliśmy wspólnie ze „Słonecznymi Drogami” na obóz do Kornego k. Kościerzyny. Po rocznym letargu jak zwykle wzięliśmy się w garść i zorganizowaliśmy fajny obóz. Pamiętam, że wtedy właśnie zaczęliśmy być zauważani jako rozśpiewany szczep. Wydaje mi się (ale nie jestem pewien), że jadąc na ten obóz wiedzieliśmy już o tym, że „Dziadek” [hm. Marek Kudasiewicz] ma zostać naszym szczepowym.*

*Ta decyzja, na pewno była to decyzja „Komandorii”, miała na celu wyprowadzenie szczepu na szersze wody. Pod koniec lat siedemdziesiątych „Srebrzyste Ptaki” miały bowiem olbrzymi potencjał, z którego nie zdawaliśmy sobie sprawy; trzy szkoły podstawowe to przecież setki dzieci i młodzieży, bardzo zgrana grupa instruktorów, wspaniałe tradycje...*

*Poza tym zbliżało się pięćdziesięciolecie „19-tki” oraz Wielki Zlot Jubileuszowy Har-*

*cerstwa w Krakowie. Byliśmy wszyscy pod wrażeniem niedawnej wizyty papieża Jana Pawła II, było mnóstwo zapału i potrzeba było kogoś, kto by ten zapal jakoś ukierunkował.*

*Koniec końców po obozie stałym w Kornem i sierpniowym wspaniałym spływie kajakowym na Mazurach, we wrześniu 1979 r. przyszliliśmy na inauguracyjną zbiórkę w Szkole Podstawowej nr 50. Pamiętam tę zbiórkę bardzo dobrze. Pamiętam do dziś, jaką miałem tremę meldując „Dziadkowi” szczep. No i zaczęło się...*

*Ruszył pierwszy od lat kurs zastępowych, wysłaliśmy Dorotę i Kasię na kurs drużynowych, zaczęliśmy bywać w hufcu, słowem, powiało nowym, zaczęliśmy też poważnie myśleć o nowej izbie. Ale przede wszystkim byliśmy zmobilizowani (mówię to w swoim imieniu, ale jestem przekonany, że dotyczyło to nas wszystkich), żeby nie zawieść „Dziadka” i dosłownie dać z siebie wszystko.*

*Szczególnie było to widoczne w trakcie przygotowań do obozu w Rynie 1980 r. Przed obozem poświęciliśmy mnóstwo czasu i wysiłku na przygotowanie dekoracji, proporców zastępów, kronik itp. No i udało się. Obóz o tematyce rycerskiej „Gniazdo-80” pokazał, że „Srebrzyste Ptaki” potrafią wzlecieć! Obóz, o ile pamiętam, nie zdobył jeszcze kategorii W (co miało stać się nieomal rutyną przez następne lata), ale został już doceniony, a dla nas był wspaniałą zachętą do jeszcze lepszej harcerskiej pracy. [...]*

*W sumie początek lat osiemdziesiątych zapowiadał dla „Srebrzystych” okres wysokich lotów, w skali „makro” zaś zbliżały się wielkie wydarzenia, w których zarówno szczep jak i nasi instruktorzy mieli wziąć czynny udział, że wspomnę raz jeszcze Zlot Jubileuszowy i kolejną pielgrzymkę papieża. Wkrótce też „Srebrzyste Ptaki” miały przejść do ZHP-1918, a kilkoro spośród nas miało stać się członkami Kręgu „Czarnego Dębu”.*

*Wspominając teraz te lata i widząc je z dalszej perspektywy (w końcu mieszkamy z Kasią na drugiej półkuli), nie mogę oprzeć się wrażeniu, że bez „Dziadka”, bez jego niewyczerpanej energii, osobowości, umiejętności mobilizowania i motywowania, słynnych powiedzonek i opowieści (ta słynna o armacie, której historię „Dziadek” chyba bardziej wymyślił niż gdzieś przeczytał – boki zrywać) i skautowego ducha nasze (myślę tu zarówno o szczepie „Srebrzyste Ptaki”, jak i o nas*

10. Komandoria, [http://www.monografia19kdl.republika.pl/index\\_mono.htm](http://www.monografia19kdl.republika.pl/index_mono.htm), 1 X 2010

indywidualnie) dalsze harcerskie dzieje pewnie nie byłyby tak udane.

„Dziadek” potrafił zlikwidować ten naturalny dystans, jaki zwykle istnieje między harcerzem i instruktorem. Ten genialny pseudonim „Dziadek” to był przecież strzał w dziesiątkę. Dwunastoletni młodzik czy wywiadowca po prostu zwracał się do niego raczej „Dziadku” niż „Druhu harcmistrzu”, co od razu stwarzało przyjacielską i luźną atmosferę, ale co należy podkreślić, nie odbywało się w żadnej mierze kosztem braku czy mniejszego szacunku do „Dziadka”.

Myszę, że wpływ, jaki wywarł na nas „Dziadek”, ukształtował nas nie tylko harcersko, ale i życiowo. Jak już wcześniej wspominałem, wahałem się wówczas, co zrobić, zostać w harcerstwie czy zająć się czymś innym. Kilka wspólnych zbiórek, spotkań, wycieczek rozwiało moje dylematy. Wiedziałem, gdzie jest moje miejsce.

Zresztą trzeba przyznać, że spotykaliśmy się małą czy większą grupą bardzo często. Oczywiście były to zbiorki, wycieczki, ale również całkiem nieformalne spotkania w domu. To też stwarzało atmosferę bliskości, lepszego poznania się, zaufania i po prostu przyjaźni.

Okres Dziadkowego „komendantowania” naszym szczeniem przysporzył nam wielu młodych instruktorów, dzięki czemu liczba drużyn wzrosła na początku lat osiemdziesiątych do dwóch męskich, trzech żeńskich, jednej starszoharcerskiej i kilkunastu (w pewnym okresie) zuchowych. Również prężnie i regularnie działający krąg instruktorski to w dużej mierze jego zasługa.<sup>11</sup>

Inny instruktor tak go wspominał: *Moja przygoda z nim zaczęła się w 78 r., kiedy wstąpiłem do 19-tki „Srebrzystych Ptaków”. Przyrzeczenie Harcerskie, kto to wtedy wymyślił, w zbrojowni na Zamku Królewskim na Wawelu. Świeca obrzędowa, która wtedy płonęła, on to przyrzeczenie odbierał. Trzęsieniem ziemi się zaczęło, a potem tylko powiększające się napięcie. Bo czekał nas jubileusz 19-tki. Jak urzeczony pamiętam, jak na dziedzińcu wawelskim odbierał meldunki drużynowych. I nasza defilada wtedy. Później ognisko jubileuszu, przy którym śpiewałem piosenkę przez niego ułożoną o tym, że nasza kartonówka wcale nie lata. Autor piosenek, autor pieśni. Wtedy też założyłem na siebie tę żółtą chustę pod lilijki uskrzydłonej znakiem. Oj, druhu Marku, tyle*

wspomnień, tyle obozów. Moje pierwsze zimowisko, na którym się jeszcze nie wykształciła późniejsza rzesza gitarzystów. „Dziadek” wybijał rytm na samograj, na keyboardzie. Wtedy uczyliśmy się pieśni i obrzędów, tego ognia obrzędowego, który później płonął nie raz. Kurs zastępowych. Pamiętam, że w mieszkaniu Kudasiewiczów drzwi się nie zamykały, tam się przewijały całe stada po zaliczenia – to lotnictwa, to sprawności, a to stopni. Tak było przy Kochanowskiego, tak było potem przy Zagrody. Drzwi się nie zamykały. Niedościęły ideał. Ale z drugiej strony był bardzo blisko nas. Pamiętam te godziny w zatłoczonych pociągach, w przejeżdżających. Zimowiska, gdzie spalo się byle gdzie, byle tylko był kawałek podłogi. Nie wiem, czy pamiętacie Białą Służbę i naszą służbę w Tarnowie, kiedy byliśmy zakwaterowani w jednej z plebanii. Na zapleczu kościoła, na poddaszu kościoła. My spaliśmy po kątach, a „Dziadek” wymościł sobie posłanie na katafalku i żartował, że próbuje, czy mu będzie wygodnie. Przemieszczając się środkami komunikacji publicznej tłumy ludzi słuchały, jak my z nim rozmawiamy – „Dziadku” to, „Dziadku” tamto. I któryś z pasażerów pewnym momencie nie wytrzymał i powiedział: – Panie, to wszystko pana? – No tak. To wszystko było jego. My byliśmy jego wychowankami. Przez te wszystkie lata był to dla mnie przywilej, że należałem do tej braci, która na chustach nosi znamię „Dziewiętnastka się nie łamie...”<sup>12</sup>

Marek pełnił funkcję szczeniowego Szczępu Lotniczego „Srebrzystych Ptaków” w latach 1979–1985. Tak wspomina go jedna z instruktoerek tego szczeni, a jej słowa mogą być pewnego rodzaju podsumowaniem jego pracy w tym szczeni:

*Mam coś napisać o „Dziadku”. Moje wspomnienia... brr... brzmi fatalnie, bo ani ja nie zbliżam się jeszcze do wieku emerytalnego (a wspomnienia to piszą raczej zaawansowani wiekowo i mający duże życiowe doświadczenie ludzie) i „Dziadek” nie zamierza rozstać się z nami.*

*On jest – możecie go spotkać (adres – odkąd się go nauczyłam jako mała harcereczka gdzieś ok. 1980 roku – do dziś się nie zmienił), możecie do Niego napisać, jest jeszcze czas... a warto!*

11. Wspomnienia hm. Aleksandra Wcisto.

12. Relacja pwd. Bartosza Celery

Bo „Dziadek” to dla mnie jest KTOŚ! Napiszę raczej o moim z nim spotkaniu, spotykaniu, dorastaniu, pracy.

Poznałam „Dziadka” – podobnie jak połowa mieszkańców mojego osiedla – gdy został naszym szczepowym i równo ze wszystkimi (od zuchów począwszy!) pisał na pierwszej zaciągowej zbiórce – gość w wieku naszych rodziców, a bawił się jak dziecko – i tą zabawą nas „wziął”. Potem wielokrotnie wychowanie przez zabawę okazywało się najlepszą metodą.

Potem lata spędzone razem na zbiórkach, wycieczkach, kursach zastępowych, drużynowych, instruktorskich (w tym genialny kurs podharcemistrzowski!). I ciągle „dziadkowy” doping do pracy – mnie dość łatwo wjechać na ambicję. Toteż za jego namową, ze świetną asystą przybocznego (Marka F.) oraz opieką i wielkim wsparciem zastępcy szczepowego ds. starszoharcerskich (Marka M.) prowadziłam drużynę w VII LO. Teraz uczy się tam mój syn – nie ma już w szkole harcerzy, ale w harcówce wymalowana żółta chusta z szachownicą i „19” ciągle na ścianie widnieje (byłam tam z miesiąc temu), ale niestety nic więcej, żadnych naszych śladów nie znalazłam... no cóż, ponad 20 lat od matury upłynęło.

A potem harcerstwo „formalne”, działające, czynne opuściłam – studia, rodzina... Ale „Dziadek” ciągle był – trudno go opuścić. Najpierw wspólna praca w ognisku dla dzieci, gdzie razem jakoś dawaliśmy sobie radę, a następnie Szkoła Podstawowa nr 50 w Bronowicach, do której „Dziadek” zorganizował zaciąg swoich wychowanków, raczej wychowanek-instruktorów – wykształconych nauczycieli (UJ, AGH, WSP), które stanowiły dla niego jako dyrektora placówki oparcie (mam nadzieję, „Dziadku”, że tak było). Zresztą kilka osób nadal tam pracuje (w tym mój obecny, a tam poznany mąż, tak, tak, „Dziadku”, to też trochę przez Ciebie!). Oficjalnie „Pan dyrektor” dla nas, nawet wezwanych na dywanik pozostawał „Dziadkiem”. I jemu, i nam łatwiej było pracować – rozumieliśmy się czasem bez słów, a różne jego „chwyt” metodyczne stosowaliśmy nawet na lekcjach matematyki (przypadek mój!).

Do dziś utrzymuję kontakt z rodziną „Dziadka”: jego córką Magdą, moje dzieci przyjaźnią się z jej dziećmi. Niestety to już czasy SMS-owo-internetowe i wielka szkoda, że one raczej (choć jeszcze nie wiadomo – są dopiero

licealistami – wszystko przed nimi) nie będą mieć takich wspomnień jak my – spania w jednym śpiworze, stania wspólnie na warcie, smażenia 200 kotletów na służbie dla całego obozu, ale i blasku ogniska, uścisku dłoni kogoś bliskiego w kręgu i dreszczy wzruszenia podczas śpiewu „Idzie noc”. Dla mnie „Dziadek” to także jego ulubiona piosenka „Que Sera, Sera”, którą Alek Wcisło anonsował: – Dla pewnego pana... – a „Dziadek” tylko tajemniczo się uśmiechał i oczy miał wtedy inne. Ale także hymn „19-tki”, zwłaszcza gdy drużny śpiewają: „Każdy z nas wesółym jest chłopakiem...” – co jakoś nigdy nam nie przeszkadzało. Może byliśmy trochę „chłopackie”, zaprawione na obozach – w budowie bramek, półek, latryn, nauczone topografii, sygnalizacji, osłuchane „dziadkowych” gawęd, a jednocześnie roześmiane i rozśpiewane „srebrzysto-ptasze” drużny wielokrotnie wygrywające HPA (Harcerski Przegląd Artystyczny) w hufcu.

Takiego dzieciństwa można nam pozazdrościć, również pod względem przynależności do Harcerstwa przez duże H, gdy czasy były ciekawe – „Pogotowie Zimowe” (rok 1981/82), św. Idzi, „Czuwajmy”.

„Dziadku”, nawet nie wiesz, ile w nas zostało, nie tylko wspomnień (czytaj: pamięci), nie tylko umiejętności (czytaj: zaradności), ale i sposobu na życie, nie mówiąc już o naszym zawołaniu: – Dziewiętnastka się nie łamie! – które do dziś zdarza mi się przywoływać w celu mobilizacji – szczególnie w pracy, w trudnych zadaniach. Staram się trzymać poziom, który Ty, „Dziadku”, ustawiłeś nam wysoko.

Wydawało mi się, że nic nie napiszę, a tu proszę, zrobiło się bardzo późno, a ja tak mogłabym pisać i pisać, i pisać. I zdaje mi się, że to wszystko zdarzyło się zaledwie parę dni temu... A jednak, zaczęłam wspominać, „opowiadać o tobie legendę, Komendancie, Wodzu nasz!”.<sup>13</sup>

### W komendach harcerskich

W latach 1977–1980 Marek działał również w komendzie Hufca Kraków-Krowodrza, pełniąc funkcję zastępcy komendanta hufca, a w latach 1982–1985 – w komendzie Chorągwi Krakowskiej będąc kierownikiem Wydziału Harcerskiego. Natomiast w latach 1985–1987 był zastępcą dyrektora Młodzieżowego Domu Kultury „Dom Harcerza” Kra-

13. Relacja phm. Agnieszki Biernackiej.

ków-Krowodrza. W tym czasie współpracował z hm. Zbigniewem Sabińskim, który tak to wspomina: *Z Markiem Kudasiewiczem miałem okazję i zaszczyt spotkać się już kilkadziesiąt lat temu, jeszcze wtedy, gdy działał w Kleparzu. Imponował mi swoimi pomysłami i w ogóle specjalnością lotniczą, chociaż zawsze miałem uwagi, dlaczego oni nie latają na prawdziwych samolotach, tylko ta specjalność kończy się na balonach papierowych i na różnego rodzaju modelach. Z chwilą, kiedy nasze hufce się w jakiś sposób połączyły, Marek był mi o tyle bliski, że współpraca nasza sięgnęła funkcji zastępcy hufcowego. A nawet w układach zawodowych, kiedy stracił pracę czy zrezygnował z pracy w biurze projektów jako specjalista od spraw komputerów, został u mnie pracownikiem MDK, łącząc to z pewnymi działaniami na terenie hufca.*

*Dał się poznać jako świetny programowiec, który jednak potrzebował trochę pomocy organizacyjnej. Tutaj tworzyli taki tandem Marek Kudasiewicz z Ryśkiem Wcisło. Jeden świetnie planował, a drugi wspaniale realizował, będąc jako instruktor harcerek świetnym organizatorem. Wszelkie poczynania i ambitne plany miały wtedy dobry przebieg. Przykładem była taka akcja w latach osiemdziesiątych, trudnych dla nas – dla kadry harcerskiej – mianowicie „Droga do orłów”. I kiedy na obozach i przed obozami był cały cykl przygotowania młodzieży do zapoznania się z historią orła polskiego (naszego godła narodowego): od piastowskich orłów po te orły w koronie (co nota bene sprawiało mi kłopoty w tłumaczeniu władzom, dlaczego akurat na tych się zatrzymaliśmy). Była to świetnie zaplanowana akcja, z realizacją w czasie roku harcerskiego i na obozach. Pamiętam, że byliśmy wtedy na wizytacji z sekretarzem Jerzym Hausnerem. Marek w pewnym okresie swego życia, po odejściu z MDK, był dyrektorem szkoły przy ulicy Katowickiej, którą prowadził trochę metodami harcerskimi. Nigdy nie odbiegał od wysokiego standardu prowadzenia działalności z młodzieżą. Jak widać, to harcerstwo przydało mu się też w pracy zawodowej.<sup>14</sup>*

*Tak o tej jego pracy tak opowiadał jeden z instruktorów: Ta szkoła w 91 roku została reaktywowana. Była to szkoła z olbrzymią tradycją, bo mięło już dwieście lat, odkąd ona istnieje. Marek wziął sobie do serca odbudowanie tej*

*szkoły. A zrobił to w sposób szczególnie i specyficzny dla siebie. Znakomita część kadry szkoły to byli instruktorzy harcerscy. Instruktorzy uczyli języka polskiego, instruktorzy uczyli geografii, języka angielskiego, historii, i pewnie jeszcze bym znalazł kilka innych przedmiotów. Zespół nauczycieli był świetny. I te pierwsze lata szkoły w ten sposób prowadzonej pozwoliły na to, że do dzisiaj ona trwa i jest szkołą znakomitą. Stała się niezwykłym miejscem kultywowania młodopolskiej tradycji. Z jego inicjatywy był organizowany festyn bronowicki. Napisał wreszta kapitalną, wierszowaną opowieść o Bronowicach, warto może poszperać w Internecie i ją znaleźć. Co było najważniejsze w tym wszystkim? Dyrektor, który obejmuje szkołę, musi prowadzić lekcje, musi prowadzić zajęcia. Marek był z wykształcenia ceramikiem, a więc przypadło mu prowadzenie lekcji plastyki, traktowanej w szkole jako taki „michalek”. Natomiast on zrobił z uczniów, którzy uczęszczali na zajęcia z plastyki, mistrzów świata. Do dzisiaj w pierwszym liceum, jeżeli nauczyciel plastyki słyszy, że przychodzi do niego ktoś z 50-ki to zaciera ręce. [...] Bardzo długo na ścianach szkoły, jeszcze pewnie w wielu miejscach do dzisiaj wiszą rysunki, prace dzieci z tamtego czasu. Reprodukcje czy kopie dzieł mistrzów, które dziesięciolatki, nastolatki wykonywali pod jego opieką.<sup>15</sup>*

Marek wchodził często w skład kadry kursów, także w ramach działalności krakowskiej Chorągwianej Szkoły Instruktorów. W prowadzonych przez niego kursach brali udział instruktorzy z całej Polski. Dzięki m.in. jego działalności w szeregu środowisk w latach osiemdziesiątych odrodziło się tradycyjne harcerstwo. O nim jako o komendancie jednego z kursów tak napisała jedna z uczestniczek: *Przed laty uczestniczyłam w kursie na stopień przewodniczki (jeszcze wówczas koedukacyjnym) w Krakowie. Kurs nosił nazwę „Młyn”, a jego komendantem był hm. Marek Kudasiewicz, przez harcerki i harcerzy zwany „Dziadkiem”. Często wspominam z wielką sympatią spotkania kursowe w Krakowie, Opolu, Pionkach... Tyle się wówczas nauczyłam, tyle spraw wreszcie zaczynałam rozumieć, no i oczywiście poznałam dla mnie wówczas legendę – „Dziadka”. Dokładnie pamiętam dwa obrazki związane z przykładem osobistym instruktora.*

14. Relacja hm. Zbigniewa Sabińskiego.

15. Relacja hm. Wojciecha Hausnera.

Obrazek pierwszy. Podczas jednego ze spotkań w Krakowie po zajęciach kursowych chwila oddechu. Jedziemy na krótką wycieczkę po Krakowie. Kilka przystanków tramwajowych i jesteśmy. Wawel, Kościół św. Idziego, Rynek i spacer Plantami. Idziemy w grupie. Każdy z każdym rozmawia. Dzielimy się refleksjami kursowymi, opowiadamy o sobie, komentujemy piękne widoki i nagle patrzę... Druh Marek idzie na końcu. W pewnym momencie widzę, jak zatrzymuje się w miejscu, gdzie wyjątkowo dużo porozrzucanych papierów i śmieci, zbiera je, wrzuca do kosza i idzie dalej. Zwyczajnie. Posprzątał.

Spojrzałam na idące obok mnie osoby. Nikt tego nie zauważył. Każdy zajęty rozmową. Mało brakowało, a ja także bym tego nie zauważyła. Wszyscy przeszliśmy dumni i szczęśliwi koło całego bałaganu i dopiero on go zauważył... Niby zwyczajnie, niby tak powinno być, kto widzi bałagan, ten sprząta. No właśnie, kto widzi...

I w tej jednej chwili tysiąc myśli kołocze się po głowie. Koniec z rozmowami, koniec z podziwianiem widoków, nie słyszę opowieści o historii Krakowa... Tylko te myśli... Jeśli to wszystko takie normalne, zwyczajne, to czemu wywarło na mnie takie wrażenie, czemu nie pozwala skupić myśli. Przecież nie posprzątały całego Krakowa. A dlaczego nie? I nagle olśnienie. Nie tyle te zajęcia kursowe, nie tyle testy i zaliczenia, konspekty, lektury (choć to ogromnie ważne), ale taka postawa instruktorów ma nas ukształtować. Ma uświadomić, że ideały to, na co dzień, w domu, w szkole, na ulicy... Przykład własny instruktora...

Obrazek drugi. Zajęcia kursowe w jednej z krakowskich szkół podstawowych. Krótka przerwa, rozmowy, nerwowy pośpiech, by jeszcze coś wyjaśnić, zapytać, bo za chwilę dalszy ciąg, nowe sprawy, nowe wiadomości. I nagle w harcerski tłumek wchodzi rozkrzyczana woźna. W pierwszej chwili nikt nie rozumie, o co chodzi. Patrzymy ze zdziwieniem i oburzeniem. A ona krzyczy, że niby harcerze, a takie brudasy, że nie szanują cudzej pracy, że za jej czasów to harcerze..., że ona powie pani dyrektor, że więcej nas nie wpuszczą, że takie z nas flejtuchy, że cała szatnia zaśmieconą woreczkami, kanapkami a nawet butelkami. Kto wie, co jeszcze w tych butelkach było...

No, tego to już za wiele. „Dziadek” spokojnie wychodzi przed szereg i pyta, co się właściwie stało. A woźna znowu w krzyk, że brudno,

że nie szanujemy cudzej pracy i jak chce, to niech idzie sam zobaczyć ten bałagan w szatni, a nie jeszcze się pyta, co się stało...

Wreszcie do nas dociera, iż my przecież w ogóle z szatni nie korzystaliśmy. Dziadek o tym też wie, bo przecież już na początku spotkania powiedział nam, iż wszystkie nasze rzeczy trzymamy w salach noclegowych i poruszamy się tylko po określonym terenie, żeby nie brudzić szkoły! Zaczynamy tłumaczyć to woźnej, każdy na swój sposób, jest coraz głośniejsz. Do woźnej nic nie dociera. Ona swoje, my z coraz większą irytacją i oburzeniem swoje. Oj, nic z tej dyskusji nie będzie dobrego. Ona nabierze jeszcze większe przekonania, że my to już nie „ci harcerze, co za jej czasów...”, a my będziemy z oburzeniem komentować swoją krzywdę.

I nagle wszyscy zamilkli. Do grupy wrócił „Dziadek” z workiem śmieci i szczotką, którą wręczył woźnej ze słowami: – Już posprzątała! – a do nas: – Na zajęcia, mamy spóźnienie. – Dopiero teraz dostrzeżliśmy, iż nie brał udziału w naszej dyskusji, ale gdzieś na moment znikł. Jak to? To nie wyjaśnimy tej sprawy?! Dlaczego mieliśmy sprzątać, kiedy to nie my nabałaganiliśmy? Czyżby On sam...?!

Ale głośno nikt nic nie mówi. Tylko tak jakoś ze zdziwieniem patrzymy na naszego Komentanta. Idziemy na zajęcia i zza ściany słyszymy jeszcze głos woźnej, że ona jednak zadzwoni do pani dyrektor i powie... No właśnie, co powie? Nie wiem dokładnie, co myśleli inni. Ja z tych kolejnych zajęć mało pamiętam. Powraca do mnie obraz „Dziadka” sprzątającego park i... no tak. Przykład własny... A przecież rozumując na nasz sposób, to właśnie ON powinien się najbardziej oburzyć. A z całej tej sytuacji wynika, że on poszedł i posprzątał... Przykład własny instruktora...

I jakby tego wszystkiego było mało, po południu, kiedy odpoczywamy między kolejnymi zajęciami przed budynkiem szkoły (jako że pogoda dopisała), widzimy wychodzącą ze szkoły woźną. Widzę miny siedzących wokół mnie osób. Gdyby mogli, to z pewnością powiedzieliby kilka niemiłych słów tej kobiecie. A ona... Twarz ma zmienioną, jakby łagodniejszą, coś jakby uśmiech błdzi po jej twarzy. No, tego to już stanowczo za wiele. Jeszcze beczelnie się z nas śmieje!

Woźna podchodzi do nas i spokojnym, miłym głosem mówi, że ona wyjaśniła już całą sprawę z panią dyrektor..., że przeprasza, że ona wie, iż to nie my nabałaganiliśmy, że ten

*balagan to został po uczniach, niesprzątnięty przez inną woźną..., i właśnie pani dyrektor prosiła, by to posprzątała..., że ona nie wiedziała..., myślała..., tak to wyglądało...*

*CO WYGLĄDAŁO? I kiedy już pewnie niektóre osoby szykowały się do wypowiedzenia swoich sądów, że nie trzeba oskarżać niewinnych, że najpierw należy wyjaśnić całą sprawę, a tak naprawdę to jak mogła oskarżyć harcerzy itd., ona powiedziała: – Ale Komendanta macie super. Prawdziwy harcerz! – I odeszła. Nikt nie powiedział do niej słowa. Tak jakoś wszyscy patrzyliśmy po sobie i jestem pewna, że były to właśnie myśli o SUPER KOMENDANCIE. Przykład własny instruktora...<sup>16</sup>*

W sierpniu 1988 r. w Rising Sun w Stanach Zjednoczonych (w stanie Maryland) odbył się IV Światowy Zlot ZHP poza granicami Kraju. Po raz pierwszy wzięła w nim udział delegacja harcerzy z Polski, która mieszkała w obozie skautowym nad Octoraro Creek. Hm. Marek Kudasiewicz znalazł się w składzie tej delegacji i wspominał, że będąc na spacerze spotkał tam hm. Ryszarda Kaczorowskiego (byłego naczelnika harcerzy, a następnie przewodniczącego ZHPpgK, późniejszego ostatniego prezydenta Polski na uchodźctwie), z którym odbył interesującą rozmowę.

### **Twórczość Marka**

Marek studiował na wydziale ceramiki, chociaż chciał być plastykiem, a nie inżynierem, ale przeważała opinia ojca, że inżynier to jest „ktoś”, a artysta „nie ma przyszłości”. Wytwory jego zainteresowań i umiejętności plastycznych przewijają się przez jego całą pracę harcerską. Można znaleźć je również w napisanych przez niego książkach i wydawnictwach harcerskich (np. w wydawanej w „19-tce” gazetce ściennej „Cumulus”).

Ale Marek świetnie czuł się również jako autor literatury harcerskiej. A ponieważ w harcerskim systemie wychowawczym najwyższemu cenił i uważał za najważniejszy „system zastępowy”, dlatego napisany przez „Dziwiętnastaków” podręcznik metodyczny, który ukazał się w 1974 r., otrzymał z jego inicjatywy tytuł *Vademecum zastępowego*. Było to dość obszerne i „nowoczesne” jak na owe czasy wydawnictwo, które szatę graficzną zawdzięczało oczywiście Markowi, który we wstępie tak napisał:

*Druhu zastępowa! Druhu zastępowy! Opracowaliśmy dla Was swoisty zbiór wiadomo-*

*ści z różnych dziedzin życia harcerskiego. Celem naszym było stworzenie „Vademecum zastępowego”, a więc przewodnika-poradnika, który mógłby być wam pomocny w pracy z zastępem, a także przydatny w osiągnięciu wyższego stopnia wtajemniczenia na szlaku harcerskiego wędrowania podczas przeżywania wspólnej naszej przygody.*

Marek wypowiadał się również na łamach prasy harcerskiej, szczególnie często, gdy współpracował z redakcją ukazującego się w Krakowie w latach 1982–1990 „Harcerza Rzeczypospolitej”. W roku 2010 pojawił się także w „Dzienniku Polskim” wywiad z nim – oczywiście dotyczący harcerstwa.<sup>17</sup>

Za najważniejsze trzeba uznać opracowanie przez niego i wydanie kilku harcerskich poradników metodycznych, w tym takich „harcerskich bestsellerów”, jak: *Obrzędowy piec. Zwyczaje, obrzędy, tradycje harcerskie*, (Kraków 1986, Warszawa 1987, Warszawa 1998, Kraków 2007) i *Vademecum zastępowego „Chytręgo Kota”* (Kraków 1988, Kraków 2007). Pierwszy z nich otrzymał na łamach „Motywów” taką entuzjastyczną recenzję: *Kiedy po kilku godzinach lektury przewróciłem ostatnią kartkę książki napisanej przez hm. PL Marka Kudasiewicza „Obrzędowy piec. Zwyczaje, obrzędy i tradycje harcerskie” i usiadłem nad kartką papieru, by podzielić się swoimi uwagami o jej treści, stwierdziłem, że brakuje mi w zasadzie słów. Słów podziwu i uznania dla autora.*

*Tę pozycję Biblioteczki Drużynowego Krakowskiej Komendy Chorągwi, w odróżnieniu od wielu innych podręczników metodycznych, przeczytałem przysłówiowym „jednym tchem”. Może dlatego dopiero po zakończeniu lektury książki z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że czuję, jakbym się obudził z kolorowego snu. Jakbym dopiero przed chwilą opuścił harcerski krąg zbratany wspólnymi zwyczajami i obrzędami. I tymi opisanymi przez autora, i tymi w których uczestniczyłem, najpierw jako harcerz, potem jako starszy brat – instruktor. Moje zdziwienie wzrosło, kiedy zdałem sobie sprawę, że dojrzało we mnie postanowienie urozmaicenia obrzędowości w mojej drużynie. Tak... – tę książkę trudno czytać, nie próbując niemal od ręki przymierzać zawartych w niej zwyczajów i obrzędów do swojego środowiska czy wreszcie nie porównując ich do obowiązujących w macierzystej drużynie.*

16. Hm. Agata Wyroślak (Hufiec Pionki), Przykład osobisty instruktora, wydruk komputerowy w posiadaniu autora, ss. 3.

17. P. Stachnik, Harcerstwo ciągle jest atrakcyjne, „Dziennik Polski” nr 51 z 2 III 2010, s. B 2.

Myślę jednak, że znacznie ważniejszą od inspirowanej jest rola instruktazowa tego opracowania. W ilu to środowiskach harcerskich obrzęd jest ograniczany do niewiele znaczących gestów, symboli czy znaków. W literaturze harcerskiej od lat brakowało nam podobnej pozycji. [...].

Praca druha Kudasiewicza jest tym cenniejsza, że na każdym kroku autor traktuje obrzęd jako środek służący wychowaniu, wytwarzaniu harcerskiej atmosfery, atmosfery pozwalającej potem przez długie lata traktować chwile spędzone w zastępie i drużynie jako najmiłsze. Bardzo przejrzysty układ książki pozwala z niej korzystać z powodzeniem nie tylko instruktorom, ale i zastępowym. Tok narracji utrzymany w formie gawędy zdaje się być najlepszym do odbioru nawet dla kilkusetletniego czytelnika. Trudno też nie docenić znaczenia doskonale „współbrzmiających” z tekstem ilustracji, pozwalających łatwiej wczuć się w nastrój zawarty na tych z górą dwustu stronicach. Wczuć się w nastrój książki napisanej z „taktem, czasem z przywróceniem oka i przede wszystkim z sercem”. We wstępie autor napisał: „Opowiem ci na łamach tej książeczki, jak wygląda Obrzędowy piec – jak z pojedynczych kafli masz go zbudować. Nauczę cię nawet, jak się w nim pali, ale nie wiem, czy będzie on tak grzał swoim ciepłem jak tamten, kiedyś przed laty”. Ja tych słów nie podzielałam. Jestem pewien, że „obrzędowy piec” budowany przez czujących się harcerzami z takich „kafli”, z jakich rozdziałów składa się książka, będzie dobrze grzał i to przez wiele lat.<sup>18</sup>

A oto jakie refleksje po przeczytaniu *Obrzędowego pieca* miała jedna z instruktorek, wcześniej uczestniczka prowadzonego przez Marka kursu: *Zwyczaj i obrzędy harcerskie miały dla mnie ogromne znaczenie od początku mojego zetknięcia się z harcerstwem. Zawsze pozwalały mi głębiej przeżywać wszystko, co wiązało się dla mnie z harcerską przygodą. Wzruszał mnie płonący ogień i jakoś tak łatwiej było przy ognisku zawsze porozmawiać nie tylko o radościach, ale także o sprawach trudnych. I chyba nie będzie zbyt przesadą, że ciepłe płomienie watry przyczyniły się do wielu moich mniejszych i większych sukcesów (choć były i świadkiem porażek).*

*Krąg zawiązywany wszędzie, gdzie harcerska brać się spotkała... Braterstwo... Ta najcenniejsza rzecz w harcerstwie, której dziś w tak*

*wielu sytuacjach mi brakuje... Brak mi pięknie zdobionych kartek wysyłanych na 22 lutego. Nie zastąpią ich SMS-y... Dobry uczynek... Wszak tak zaczynała się moja służba. Od dobrego uczynku, od supelka na chuście, od Dzienniczka Dobrych Uczynków.*

*Pamiętam, jak po raz pierwszy miałam przeczytać „Obrzędowy piec” druha Marka Kudasiewicza. Czytając przeżywałam wręcz opisywane tam chwile. Zafascynowała mnie ta lektura i to, że ktoś w ogóle pokusił się o zbiór takich zwyczajów i obrzędów. A kiedy jakiś czas później pozwoliłam sobie podziękować druhowi „Dziadkowi” za „piec”, przy okazji zapytałam, skąd w ogóle pomysł na taką książkę i dlaczego taki właśnie tytuł. Otrzymałam długi list, którego fragment pozwolę sobie przytoczyć. Oddaje on moim zdaniem całą istotę naszej harcerskiej tradycji i harcerskiego zwyczaju. Druh Marek pisał wówczas: „Serdecznie dziękuję, za ciepło, przychylny sąd o przydatności ‘pieca’, który widzę dzisiaj, mógłby być lepszy. Mam sporo listów ‘ze świata harcerskiego’, które także pozytywnie o tym ‘pisanii’ wyrażają się i to na pewno cieszy autora, ale najbardziej instruktora. [...] realność myślenia, doświadczenie z długiej harcerskiej pracy, obserwacja tendencji wewnątrz Związku [list z 1987 roku, kiedy jeszcze funkcjonowaliśmy w strukturach ZHP] oraz w kraju, sytuacje wychowawcze w szkole i w naszych drużynach – widzę ‘co nieco’ i pragnę temu zaradzić. Pierwszym zadaniem jest tu (według mnie) pokazać atmosferę harcerstwa jako zespołu (zastęp, drużyna), jako organizacji obejmującej masę ludzi, jako ‘sposób na życie’ w świecie cywilnym i dorosłym, jako kryterium patrzenia na innych. Żadne polecenia nie wygrają z uczuciami, nastrojem – stąd pragnienie, by całym „Obrzędowym piecem” (a nie jednym czy drugim przykładem obrzędu), jego atmosferą i – ciepłem, przekazać istotę. Stąd przecież i przemyślana nazwa, którą zresztą kontrowano, że nie harcerska, bo powinno być: *Obrzędowa watra*. Uważam, że jednak: *piec*, nie kaloryfer! lecz *piec*, jaki był kiedyś w każdym domu. Czasem kopcący, czasem dymiący, kłopotliwy na co dzień, ale jakże wspinały, gdy za oknami zimno, wichura, śnieg, które pragnąłbym, by były odczytane jako: – zimno, ludzkiej obojętności, ludzkich serc, nieprzychylności innych;*

18. T. Cis-Bankiewicz, „Obrzędowy piec”, „Motywy” 1984, nr 47, s. 5.

– wichura, to wszystko co dzieje się: referendum, wojny, reforma, złe dojazdy, naciski Waszego hufca, bieda życia;

– śnieg, który stwarza nastrój opuszczenia–samotności, beznadziejności – chociaż jest pięknym zjawiskiem i dlatego groźnym;

a tu piec: pod którym można stanąć, grzać się i myśleć, tęsknić.

Widzę taki obraz z moich dziecinnych lat okupacyjnych. Piec huczący i błyskający ogniem, wszyscy już śpią zmęczeni udręką okupacyjną i grozą, a ja myślę 'gdzie tatuś, jak mu jest u babci w Krakowie' (a ojciec był wtedy w obozie koncentracyjnym w Dachau, tylko nie mówiono mi, bym się nie martwił w swym dziecinny życiu). Piec huczał – dawał ukojenie, a przecież była wkoło groza.

A ileż to opisów w naszej literaturze jeszcze z dawniejszych czasów, gdy przygotowywano się do powstań, walki – rozmyślano przy piecu, bo był on symbolem domu. Mój 'obrzędowy dom' – to harcerstwo, któremu tak wiele zawdzięczam przyjemności, radości, ale i własnych przeżyć, które trudno opisać. Do tego jeszcze pasuje zegar – taki ścienny, tykający i wybijający kuranty lub piejący zachrypiętą kukulką...

Tak mi dzisiaj brak tego ciepła „piecowego” w wielu naszych harcerskich działaniach, w naszych małych zwyczajnych kontaktach, w naszej służbie i... w naszej Organizacji. Jednocześnie myślę, iż warto zacząć od nowa „palić w piecu”, zapraszać innych, by się przy nim ogrzali. Bo jednego wciąż jestem pewna: MAMY CZYM NAPALIĆ...

Zastanawiam się także, czy nie warto ponownie zbierać i opisywać zwyczajów harcerskich: tych jeszcze nie opisanych i tych, które wciąż przecież się rodzą...<sup>19</sup>

Wiemy, że Marek to człowiek renesansu. Inżynier i humanista. Napisał znakomite podręczniki metodyczne, ale nie obca była mu grafika, a nawet poezja. A dla nas – „dziewiętnastaków” jest m.in. autorem hymnu „19-tki”, piosenki Kręgu Instruktorskiego „Czarnych Kotów”, a także wielu innych, okolicznościowych piosenek, które śpiewaliśmy przy obozowych ogniskach...

### Z perspektywy półwiecza

Instruktor, który, jak sam twierdzi, przyjaźnił się z Markiem „od pół wieku”, tak o nim napisał i może właśnie te słowa powinny być podsumowaniem tego tekstu:

„Chytry Kot”, „Dziadek”, Marek. Któż z instruktorów harcerskich dokonał w minionym półwieczu więcej niż On?

„Chytry”? Tak. Roztropny, mądry ale też przebiegły. Umiał w ówczesnej rzeczywistości realizować dobrą robotę harcerską, kamuflując się przed władzami. To była jedyna realna droga służenia młodzieży.

W 1957 roku utworzył lotniczą „19-tkę”. Szybko zrozumiał, że podstawą rozwoju harcerstwa jest pączkowanie. Z zastępu – drużyna, z drużyny – szczep. Z jednej drużyny powstały trzy drużyny, potem trzy szczepy, później cztery i „Komandoria”. Na Jubileuszu „19-tki” w 1981 roku na dziedzińcu wawelskim stanęło ponad 600 harcerek i harcerzy z „19-tek”. Dziś niejedna chorągiew chciałaby być tak liczna. Ponadto współtworzył metodykę pracy harcerskich drużyn lotniczych i organizował Harcerskie Turnieje Lotnicze.

Jak to osiągnął? Podstawą były kursy zastępowych i drużynowych organizowane przez „19-tkę”. Szkolił liczną kadrę. „19-tki” wychowały około stu instruktorów [w rzeczywistości około 500]. Czynnym było stale ponad trzydziestu. Kadra organizowała własne wyprawy za granicę. Taka grupa przyjaciół to potęga. „19-tki” promieniowały też na zewnątrz. Do dziś Pionki są dumne, że harcerstwa nauczyły się od Marka w „19-tce”.

„Dziadek”? Swą ojcowską troską zasłużył sobie na to miano. Dzielił się swoimi doświadczeniami, jak patriarcha rodu. Któżaż drużyna wydała powielane Vademecum zastępowego w nakładzie 3 tysięcy egzemplarzy? To bezcenne dzieło „Dziadka” zostało ostatnio wznowione, co świadczy o jego trwałej wartości. A „Obrzędowy piec” – doskonały zbiór wzorów obrzędowości – ile miał już wydań? I wciąż jest ceniony, gdyż ma wartość ponadczasową. „Dziadek” swe doświadczenia metodyczne przekazywał na obozach, na kursach i poprzez publikacje – instruktorom z całej Polski.

Czym dla Marka było i jest harcerstwo? Wszystkim. Treścią życia. Sprawą. Do ostatniego włókna ciała i kości – to harcerz. Harcerz, katolik, obywatel, Polak. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu w harcerstwo, poświęcenie się jemu – Jego życie zaowocowało ogromnymi plonami na polu harcerskim. Gdy kierował szkołą – stała się ona też harcerska. Bakcył harcerstwa złapał zaraz po wojnie. Odbudowywał harcerstwo po 1956 roku.

19. A. Wyroślak (Hufiec Pionki), Obrzędowy piec, wydruk komputerowy w posiadaniu autora, ss. 3.



*Przetrwiał najtrudniejsze lata 1964–1980. Znów wskrzeszał harcerstwo lotnicze w 1981 roku. Organizował odnowę harcerstwa w czasach KIHAM i NRH. Współtworzył ZHP-1918 i ZHR. Zawsze w czołówce walki o prawdziwe harcerstwo.*

*Wyszkolił i uformował liczną rzeszę instruktorów. Nie tylko dla Krakowa. Iluż zasłużonych dla harcerstwa nazwisk należałoby tu wymienić.*

*I jeszcze parę słów o Marku prywatnie. Nasza przyjaźń trwa już ponad pół wieku. Bardzo ją cenię. Jego sążniste listy zawsze są pełne troski o harcerstwo. Muszę przyznać, że to Marek nakłonił mnie do pisania na tematy harcerskie, a nie tylko harcersko-lotnicze.*

*Drogi „Chytry Kocie”, czy Ty zdajesz sobie z tego sprawę, w ilu młodych ludziach wzbudziłeś zapał, w ilu rozbudziłeś pasję twórczą, chęć do pożytecznego działania, jak dużo młodych dusz pociągnęłaś do Dobra.*

*Stałeś się legendą harcerstwa jak Grzesiak „Czarny”.*

*Jest to wręcz zadziwiające, jak dużo potrafiłeś dokonać w służbie Bogu, Polsce i bliźnim. Spotkać Cię, być z Tobą w kontakcie – to duże wyróżnienie przez Opatrzność.<sup>20</sup>*

Hm. Marek Kudasiewicz dnia 19 października 2004 r. na mocy postanowienia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 20 sierpnia 2004 r. o nadaniu orderów i odznaczeń za wybitne zasługi w działalności na rzecz dzieci i młodzieży został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Oprócz tego za pracę społeczną otrzymał: Złoty Krzyż Zasługi (1981), Brązowy Krzyż Zasługi, Medal Komisji Edukacji Narodowej (2013), Brązowy Medal „Za Zasługi dla Obronności Kraju” (1978), Złoty Krzyż „Za zasługi dla ZHP” (1984), Krzyż „Za zasługi dla ZHP” (1975), Odznakę „Zasłużonego Działacza Lotnictwa Sportowego (1975), Odznakę „Za Zasługi dla Aeroklubu PRL” (1973), Odznakę „Przyjaciela Dziecka” TPD (1979), Złotą Odznakę „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej” (1988), Złotą Odznakę „Za pracę społeczną dla Miasta Krakowa (1983), Medal Chorągwi Krakowskiej „Za Zasługi” (1985), Medal Za Zasługi dla Chorągwi Krakowskiej ZHP (2009), „Błękitne Skrzydła” – nagrodę redakcji „Skrzydlatej Polski” (1976)<sup>21</sup> i Medal Komisji Historycznej Chorągwi Krakowskiej ZHP (2014).

W dniu 17 grudnia 2021 r. odszedł na wieczną wartę. Mimo ograniczeń wynikających z pandemii w jego pogrzebie wzięło udział kilkuset harcerzy i instruktorów z obydwu Związków oraz 8 pocztów sztandarowych. W imieniu harcerzy i instruktorów pożegnali go: hm. Wojciech Hausner i pvd. Bartosz Cetera. Prezydent RP przysłał wieniec i pośmiertnie odznaczył „Dziadka” Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

© Copyright by Krzysztof Wojtycza. Pewne prawa zastrzeżone. Tekst niniejszej publikacji jest dostępny na licencji Creative Commons – Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Postanowienia licencji są dostępne pod adresem: <http://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/legalcode>

20. Relacja hm. Andrzeja Glassa.

21. [J. Wojtycza], Marek Kudasiewicz. Kto jest kim w Krakowie, „Dziennik Polski” nr 48s, 26 II 2006, s. 7.

